TYGODNIOWY PRZEGLĄD LITERACKI KOŁA • PISARZY • Z • POLSKI

Rok II. Nr.40./48/ 151 East 67 Street, New York, N.Y. 1.X. 1942

Stabat Mater.

Stała matka boleściwa - na rynku
Przy swym martwym, powieszonym synku.

Stała w świata przeraźliwej pustce
Polska matka w służącowskiej chustce.

Nie płakała i nic nie mówiła,
Zimne oczy w zimne zwłoki wbiła.

Wisiał bosy, z wszystkiego wyzuty:
Niemcy przedtem zabrali mu buty.

Będą w butach jej syna chodzili
Po tej ziemi, którą pohańbili.

Po tej ziemi, która umęczona
Stoi - patrzy - i milczy - jak ona.

\-

\- -

Stabat Mater, Mater dolorosa,
Gdy jej synów odcinali z powroza.

Kładła w groby, głuche jak jej noce, -
Martwe swego żywota owoce.

Stabat Mater, Mater nostra, Polonia,
Z cierni miała koronę na skroniach.

Józef Wittlin

Nauka czy wroga propaganda?

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej są wielkim narodem, nietylko w znaczeniu potęgi materialnej, lecz przedewszystkiem w sensie moralnym. Narody, jęczące w potwornej niewoli niemieckiego zbrodniarza, z podziwem i z rosnącą otuchą patrzą, jak ten wielki kraj gotuje się do ostatecznej rozprawy z wrogiem ludzkości w imię najszlachetniejszych ideałów wolności. Wszystkie te narody wierzą i ufają ludowi amerykańskiemu, wierzą w jego szlachetność i uczciwość polityczną, którego wcieleniem jest jego wielki Prezydent. Korespondenci, którzy mieli okazję zetknięcia się z przedstawicielami narodów w Europie, gdzie dziesiątki tysięcy bohaterów ginie w podziemnej, pełnej straszliwej zawziętości walce z wrogiem, podkreślają przedewszystkiem tę wiarę, która podtrzymuje nadzieję i daje siły do wytrwania wśród niebywałych cierpień. Cechą bowiem charakteru amerykańskiego jest szlachetny, nieskłamany idealizm polityczny, którego wyrazem nietylko są przemówienia wybitnych polityków, publicystów i uczonych, ale pozatem ta prosta, bez ostentacji okazywana gotowość ludu amerykańskiego do największych poświęceń w obronie wolności wszystkich narodów świata.

Wobec tej postawy stanowczej i niezachwianej musiały zamilknąć zuchwałe okrzyki izolacjonistów i defetystów, wszelkiego autoramentu agentów, i politycznych kombinatorów - bez względu na to, czy ich motywem jest naiwna krótkowzroczność czy tchórzostwo czy też cyniczna służba u obcych. Jesteśmy świadkami, jak energicznie zabrał się naród amerykański do tych elementów szkodliwych, które w tak złowieszczy sposób zaciążyły niedawno na losie niejednego państwa europejskiego. Ale mimo że zamilkły okrzyki, nie ustała podziemna robota tych polityków. Z jej śladami spotykamy się również my, Polacy. Niedawno dopiero w artykule Stanisława Strzeteleskiego zwróciliśmy uwagę na osławioną mapę prof. Rennera, który Polskę, Czechosłowację i inne państwa Europy wschodniej wcielił do Rosji a Niemcom podarował resztę Europy z Francją, Włochami, nawet z Hiszpanią. Że nie był to bzik jakiegoś zdziwaczałego uczonego, lecz świadomie przemyślana propaganda polityczna, świadczy o tem fakt niedwuznaczny. Bo oto nakładem firmy wydawniczej Maurice Gomberg w Filadelfii wydano w setkach tysięcy egzemplarzy mapę według tej koncepcji. Nazwano ją "Post - War New World Map", który to tytuł wyraźnie zdradza polityczne i propagandowe intencje autorów.

Teraz jednak należy zanotować fakt o wiele znamienniejszy, który wśród Polaków zbudzi nietylko głęboki niesmak, ale najwyższe oburzenie. Bo oto narzędziem jeszcze gorszej propagandy antypolskiej stała się jedna z najpoważniejszych instytucji naukowych, filia amerykańska "Encyclopedia Britannica", mająca swą siedzibę w Chicago. Instytucja ta rozesłała po całej Ameryce prospekt swego nowego atlasu, którego autorem jest C. Donald Hudson, profesor geografii z Northwestern University w Chicago. W broszurze znajdujemy jako wzór mapę Rosji. Nie wierzymy własnym oczom. Albowiem zachodnie granice Rosji obejmują całą Litwę, ciągną się na zachód od Niemna, wzdłuż Bugu, potem skręcają pod ostrym kątem na zachód. W ten sposób przepadło nam Wilno, Lwów, Przemyśl. Czy jednak szczodry dla Rosji profesor zechciał przynajmniej oddać nam resztę Polski? Niema o tem mowy! Na skrawku reszty Polski, który zdołał pomieścić się na mapie, legł tłustymi literami napis "Germany", aby broń Boże nie było wątpliwości. Autorowi, jak z tego wynika, wcale nie chodziło o tak błahą dla niego sprawę Wilna i Lwowa. Nie doceniliśmy rzutkości jego koncepcji politycznej. Bo prof. Hudson poprostu wykreślił imię Polski z mapy świa-

ta. Dokonał nowego rozbioru Polski. Obdarował nietylko Rosję wschodnimi połaciami naszego kraju, lecz resztę razem ze stolicą oddał Niemcom, w nagrodę za ich wojenne wyczyny.

Przykrym zgrzytem w tej całej sprawie jest i to, że wśród opinii wyrażających w prospekcie uznanie dla nowego atlasu, znajdujemy również list dr.Malcolm'a Proudfont'a, zastępcy dyrektora "United States Bureau of the Census", a więc wybitnej osobistości oficjalnej. Należy jednak przypuszczać, że dr.Proudfont padł ofiarą swej łatwowierności i pisząc w swoim liście o cennych ulepszeniach nowego atlasu, zapewne mapy Rosji nie widział.

Jest w tym wszystkiem coś nadzwyczaj drastycznego. W chwili, gdy krew młodzieży amerykańskiej leje się obficie na wszystkich lądach i wyspach w obronie kardynalnych zasad naszej cywilizacji, a więc również w obronie najwyższych ideałów nauki, poważna instytucja tegoż narodu wyraźnie nadużywa nauki dla frymarki politycznej, podobnie jak to jest we zwyczaju w ustrojach hitlerowskich. Jakże bowiem nazwać inaczej - to wykreślenie z powierzchni świata całego narodu, mającego tysiącletnią kulturę i walczącego krwawo o swe najświętsze prawa? Jakim prawem geograf, mający naukowy obowiązek stwierdzenia biologicznej prawdy istnienia jakiegoś narodu i państwa - zamiast tego kroi, wycina i fałszuje, by dać upust swoim mrzonkom politycznym. Korzystając ze swoich tytułów naukowych, przemyca polityczną propagandę i wprowadza w błąd szerokie rzesze odbiorców, nie podejrzewających, że zamiast rzetelnego atlasu wciśnięto im w rękę bibułę agitacyjną.

Ale mówmy o innych jeszcze aspektach. Dr.Hudson bowiem stanął niedwuznacznie na prawnym stanowisku Niemiec, które podbój zbrojny, rabunek i masowe mordy usiłują ogłosić jako akt prawny, wykreślający państwo polskie. Dr.Hudson zlekceważył moralne cele państw sojuszniczych, które narodom pragną przywrócić ich prawa, a natomiast solidaryzuje się z celami Osi. Polska nigdy nie przestała istnieć również prawnie, czego wyrazem jest uznany przez państwa sojusznicze rząd polski w Anglii z prezydentem na czele. Stany Zjednoczone Ameryki Północnej mają przy rządzie tym swego ambasadora, a polski przedstawiciel dyplomatyczny stale przebywa w Washingtonie. Nie będę mówił o prawach moralnych Polski, o zasługach naszych lotników w Anglii, o naszej armii, piątej co do wielkości, o dziesiątkach tysięcy wymordowanych w kraju bohaterach - bo te kategorie nie przemawiają, zdaje się, do umysłu politycznego autora mapy. Jedno jednak wypada podkreślić: należy wyrazić zdziwienie, że uczony a z nim instytucja naukowa, aprobująca jego wybryki - może aż tak pozostać w sprzeczności z moralnymi zasadami swego narodu i z formalnym kierunkiem politycznym swego kraju.

Polacy walczący na całym świecie, a z nimi polska emigracja w Stanach Zjednoczonych, która tak wiernie i serdecznie jest oddana ideałom swej nowej ojczyzny, pocieszają się jednak, że mapa dr.Hudsona nie jest wyrazicielem amerykańskiego narodu. Albowiem nie politycy typu dr. Hudsona będą decydowali o przyszłym ładzie na świecie, lecz tak wielcy przywódcy i dobroczyńcy ludzkości, jakim jest Prezydent Roosevelt, na którym spoczywają pełne nadziei i uwielbienia spojrzenia milionów męczenników i bohaterów. O to przecież toczy się walka, by już nigdy nie miała głosu małoduszna czy cyniczna intryga polityczna, która tyle nieszczęścia przysporzyła ludzkości. x/

<u>Zenon Kosidowski</u>

---

x/Czytelnikom,którzy pragnęliby wysłać protest z powodu wymienionej mapy,podajemy adres:"Encyclopedia Britannica World Atlas,Office of the President - 20 North Wacker Drive - Chicago, Ill

Ci co ze śmiercią ciągły pojedynek wiodą.

W małym apartamencie Hotelu Waldorf Astoria w New Yorku zebrała się cała gromada reporterów i reporterek amerykańskich. Siedzą, piją, "lulki palą". Siedzą gdzie popadnie,nawet na wyścielonej puszystym dywanem podłodze, i piją tradycyjne whiskey. Zakotłowało się nagle w przepełnionym saloniku. Fotografowie ruszyli w przedniej straży, gdy do pokoju wszedł wysmukły młody lotnik z naszywką "Poland" na ramieniu. Jeden z najsławniejszych asów lotniczych, ma na swoim koncie ni mniej ni więcej jak 17 zestrzelonych Messerschmidtów. I to licząc tylko pewne! Dowódca słynnej eskadry 303, kapitan armii polskiej, a podpułkownik armii brytyjskiej. Wokół niebieskawego munduru pilota polskiego - munduru noszącego subtelne i trudne do określenia ślady niedbałej elegancji angielskiej, przejętej być może od brytyjskich towarzyszy broni, skupiły się reporterskie głowy, a cały front zajęły ciekawe panie, uzbrojone w notatniki i ołówki. Z niewieściego obozu padło też pierwsze pytanie. Pytanie to,niezbyt oryginalne i skomplikowane, brzmiało:

- Co się Panu w Anglii najbardziej podoba?

- Kobiety! - z filuternym błyskiem w oczach odpowiedział polski pilot. - Kobiety w Anglii są wspaniałe! A zaraz po nich Spitfire'y i Hurricane'y.

- Ooo! - rozległ się chór zachwyconych głosów niewieścich, a interlokutorka, pisząc coś skrzętnie w notatniku, wykrzyknęła:

- How gallant!

Pierwsze lody konferencji prasowej zostały przełamane, a polski rycerz skrzydlaty zdobył sobie odrazu serca reporterek i reporterów. A że było to dość dawno, więc wspomnienia z zaciętych walk powietrznych nad Anglią w czasie "blitzu" niemieckiego w roku 1940 były jeszcze świeże i na ten temat zaczęły padać pytania. Lotnictwo polskie odegrało tak dużą rolę w tych walkach, a specjalnie eskadra Kościuszkowska wsławiła się w nich tak dalece, że nie trudno było znaleźć odpowiedź. I z ust polskiego kapitana-pilota a podpułkownika armii brytyjskiej popłynęła opowieść prosta i naturalna, bez żadnej pozy, opowieść o życiu i walkach tych, którzy ze śmiercią codzienny pojedynek wiodą. Spokój i skromność, z jaką sławny as lotniczy opowiadał, sprawiały wrażenie, jak gdyby zdawał relację z wczoraj widzianego filmu, a nie z zapasów, w których życie jest stawką. Ta opowieść barwna, mająca charakter przeżyć osobistych, była jakby relacją składaną gronu przyjaciół o zmroku wieczornym, przy jasno palącym się i trzaskającym kominku. Słuchajmy!

- "Pewnego dnia po upadku Francji w jednym z portów angielskich wysiadła na ląd grupa lotników polskich. Wygląd ich był pożałowania godny. Obrośnięci, brudni, w poszarpanych mundurach, maszerowali przez ulice portowego miasta angielskiego. Lecz każdy z nich miał ze sobą ręczny lub maszynowy karabin, a niektórzy nawet i po dwa. Zostawili gdzieś we Francji swój skromny, osobisty "majątek", lecz zabrali broń. Anglicy przyjęli nas więcej niż po przyjacielsku. Przyjęli nas z nieskrywanym, żywiołowym wprost entuzjazmem. Oddano nam honory wojskowe, a wiwatom i okrzykom nie było końca. Wypoczywaliśmy krótko, bo po kilku zaledwie tygodniach już wszyscy przydzieleni zostaliśmy do angielskich jednostek lotniczych. Ja wraz z innymi pilotami dostałem się w stopniu podporucznika angielskiego do jednego z dywizjonów myśliwskich, stacjonujących przy kanale La Manche. W dywizjonie tym znalazło się czterech polskich pilotów. Języka angielskiego nie znaliśmy ani w ząb. Zaledwie parę słów "pierwszej potrzeby". Ale te trudności pokonaliśmy dość szybko.

Aż nadeszły dni niemieckiej inwazji powietrznej na Anglię. Całymi chmarami zjawiały się samoloty niemieckie na niebie angielskim. Dniem i nocą. Bombardują miasta, porty i lotniska. Łuny pożarów rozświetlają noc. Najzaciętsze walki rozgrywają się nad kanałem La Manche. W walkach tych w ciągu pierwszych kilku dni, moich 3-ch kolegów-Polaków z dywizjonu ginie nad kanałem. Pozostaję sam w gronie kolegów brytyjskich. Pewnego dnia - było to w południe poderwano nasz dywizjon w powietrze przeciwko wrogim bombowcom, sunącym ku portowi angielskiemu Portsmouth. Podchodząc, widzimy już z daleka bukiety pękających pocisków angielskiej artylerii przeciwlotniczej. Nad samym portem toczą się walki powietrzne. Kilka maszyn wlokąc za sobą smugi czarnego dymu, nie wiadomo angielskich czy niemieckich, spadały jak płonące pochodnie do morza. Atakujemy formację bombowców niemieckich typu "Junkers" 87. Po naszym uderzeniu formacja ta zawróciła, Lecz ledwie zdołaliśmy ochłonąć z wiru walki, a już zaatakowały nas dwa dywizjony Messerschmidtów. I wtedy, na wysokości 20 kilku tysięcy stóp nad powierzchnią wód kanału La Manche, rozpoczęła się walka na śmierć i życie. Albo my, albo oni! Zostałem zaatakowany równocześnie przez 3 Messerschmidty. Seria pocisków jednego z nich przeszła tuż obok prawego skrzydła mojej maszyny. Poderwałem ją wgórę. Niemcy obskoczywszy mnie ze wszystkich stron, atakują na całego. Jeden z nich podsunął się tak blisko, że omal nie zderzyliśmy się. Gwałtowny skręt uratował mnie przed zestrzeleniem i zmiażdżeniem. Wszystko to stało się w ułamku sekundy i na piekielnej szybkości. Czuję, że robi mi się ciemno w oczach i jakbym tracił przytomność. Pół świadomie nurtuje mnie myśl, że za chwilę zostanę zestrzelony. Maszyna moja wpada w jakiś karkołomny korkociąg, lecz po chwili odzyskuję przytomność i panowanie nad sobą. Dokoła mnie cały rój maszyn niemieckich i angielskich. Dostałem całą serią po skrzydle. Widzę, że kabina podziurawiona już jak rzeszoto. Nagle wyskakuje przedemną Messerschmidt. Zbliżam się na odległość kilkudziesięciu metrów i ładuję w niego całą serię ze swoich 8-miu karabinów maszynowych. W tym deszczu pocisków Messerschmidt wybucha i strzępy samolotu rozlatują się na wszystkie strony."

- How exciting! - pisnęła głośno któraś z reporterek.

- Obok mnie - ciągnie dalej polski pilot - pali się maszyna angielska i niemiecka. Pod nimi biały parasol spadochronu. Po ubiorze rozpoznaję, że to Anglik. Za kilka minut opadnie na wody kanału...Tymczasem benzyna kończy mi się i to zmusza mnie do powrotu na lotnisko. Wychodząc z kabiny spotykam dowódcę grupy myśliwskiej, marszałka lotnictwa angielskiego, otoczonego kilkoma oficerami angielskimi. Uśmiechnięty marszałek mówi coś do mnie - widocznie coś przyjemnego, lecz ja nie rozumiem ani słowa. Klepie mnie po ramieniu. Dopiero po kilku miesiącach, gdy zostałem przydzielony do jego sztabu, dowiedziałem się co mówił. Powiedział krótko: "Well done!"

- A później...później powstaje pierwszy polski dywizjon myśliwski dywizjon warszawski im. Tadeusza Kościuszki Nr.303. Dostałem przydział do tego dywizjonu. Spotykam w nim wielu swoich kolegów z Polski. Z językiem angielskim wszyscy jesteśmy jeszcze kiepsko. Znamy tylko parę "emergency words", jak "I like you", "Do you like me?"

Nadchodzą wielkie dni. Dywizjon Nr.303 broni Londynu. W czasie swego pierwszego lotu bojowego nad stolicą Wielkiej Brytanii zestrzeliliśmy 6 Messerschmidtów. Na drugi dzień poszło nam jednak gorzej. Podczas walki z Niemcami, których było około 100, na 12 naszych pilotów musiało aż 6-ciu ratować się skacząc ze spadochronami. Wśród nich i dowódca dywizjonu. Niemiec zapalił mu samolot. Silnie poparzony wyskoczył i miał szczęście o tyle, że spadł tuż przy samym szpitalu dla poparzonych. Dnia

tego w ciągu kilku godzin zostałem mianowany dowódcą dywizjonu. Naza - jutrz odbiliśmy się na Niemcach. Zestrzeliliśmy kilkunastu. Nasze straty wynosiły dosłownie: jedna maszyna i jeden but. Ranny pilot, skacząc z palącej się maszyny, zaczepił butem o krawędź kabiny. But spalił się wraz z samolotem.

Dywizjon 303 bije rekord w lotnictwie brytyjskim i zapisuje na swoje konto w ciągu 6 tygodni 126 samolotów niemieckich zestrzelonych z całą pewnością i około 20 prawdopodobnych.. Staje się niezwykle popularny w całej Anglii. Angielki noszą na broszkach i pierścionkach Nr.303. W restauracji mieszczącej się w pobliżu naszego lotniska, gdzie często przebywamy wieczorami, orkiestra gra późnym wieczorem hymn polski i to nawet przed hymnem angielskim. Hymn ten grany jest do dzisiaj".

No cóż....toby było mniejwięcej wszystko, co mam do opowiedzenia, bo poza tym nic ciekawego nie było".

Błysnęły lampki aparatów fotograficznych i zacieśnił się krąg wokół oficera polskich sił powietrznych. Każdy chciał uścisnąć jego dłoń Gdy opuszczałem Waldorf Astoria po tej niezwykłej konferencji prasowej długo mi jeszcze brzmiały w uszach słowa:..."bo poza tym nic ciekawego nie było"...

Tadeusz Strzetelski

C h o p i n - w a r s z a w i a k .

Jak większość Polaków poznałem Żelazową Wolę bardzo późno, już po sławnej odbudowie w roku poprzedzającym wojnę. Myślę też, że poza muzykami i różnemi zawodowemi prezesami i amatorami obchodów mało kto tłukł się kiedy do tej zapadłej wioski zanim została do niej ubita droga różnych regularnych wycieczek, wizyt, ceremonii. Wiadomo zresztą, że nikt nie zwiedza rodzinnego miasta a Żelazowa Wola była dla warszawiaków jakby przedmieściem stolicy i kto zamłodu jakoś się tam nie dostał, odkładał zawsze tę wyprawę jak wizytę w Muzeum Narodowem na Podwalu,gdzie poza fachowcami noga żadnego warszawiaka nie postała.

Słowem, niemal jak turysta, na krótko przybyły do Warszawy, zabrany zostałem któregoś jesiennego popołudnia do Żelazowej Woli, której sama nazwa rozmarzała mnie zawsze swą polskością tak rasową jak nazwiska bohaterów lub wsi u Żeromskiego.

W pewnym wieku, który jak to się mówi, nie jest już wiekiem marzeń, wszystko co widzimy nowego wydaje się nam mniej piękne od naszych marzeń albo może raczej mało co jest w stanie w nas owe marzenie obudzić.

I oto Żelazowa Wola stała się dla mnie takim objawieniem jak niegdyś Wenecja, wydała mi się piękniejsza niż to najpiękniejsze, co kiedykolwiek o niej mogłem pomyśleć, ukazała mi to najpiękniejsze w największem nasileniu swego czaru.

Pejzaż polski ma bowiem swoje niejako reprezentacyjne piękności jak puszcza Białowieska, jak Podhale i Beskidy, jak Ojców, jak jeziora Augustowskie, piękności, które każdy musi uznać, objektywnie zrozumiałe dla wszystkich, Ale nie one bynajmniej kryją to,co się nam wydaje szczególnie polskim czarem naszej ziemi, w czemś nieuchwytnym od wszystkich innych różnym, dla obcych ukrytym i jakby zgodzonym z właściwościami polskiej duszy, będącym jej obrazem.

Ten czar, który Chełmoński jak nikt inny potrafił wyrazić konturem i kolorem, który ujmuje nas taką prostą liryczną prawdą w wierszach

Lenartowicza, czar, zdawałoby się niemożliwy do określenia, tak jak ubogi i niewyszukany - jest to piękno łąki na wiosnę z rzędem wierzb poza nią i bocianem w środku obrazu, piaszczystej drogi w sosnowym lesie, łanu żyta w południe, nad którym wysoko unosi się śpiewający skowronek.

Inne, bardziej niezwykłe polskie widoki bardziej może urzekają oczy, zachwycają zmysły; zato owa łąka, ów łan zboża, owa droga w lesie jakgdyby przemawiały wprost do duszy i prawie czystym,duchowym pięknem; z nich też przedewszystkiem biją owe raźność i zarazem melancholia, tak polskiej duszy właściwe.

Otóż, gdyby Chopin miał sam wybierać miejsce swego urodzenia z tą myślą, aby wyraziło ono całą polskość jego muzyki, poddało temu, kto je będzie oglądał, rytm mazurka, czystą naprawdę jak łza nutę nokturnu, gdyby chciał wszystko, co w tej muzyce jest najprawdziwsze, najgłębsze wyrazić, podkreślić, musiałby wśród wszystkich wsi polskich wskazać na Żelazową Wolę, wśród tylu dworków na ten właśnie. Dworek ten, zdaje ci się jakobyś go widział tysiąc razy, tak jest typowy, tak polski,

Ale właśnie tego jednego nie widziałeś nigdy i gdy go zobaczyłem pomyślałem, że wszystkie inne są jakby jego naśladowaniem. I tak samo kasztan przed dworkiem stoi, jakby on jeden na świecie był prawdziwy, jakby on jeden był takiej rozłożystości, takiego wzrostu jak należy,jakby był symbolem czegoś, co jest wszędzie w Polsce, oznacza polskość, ale tylko tutaj w Żelazowej Woli jest prawdziwe i doskonałe.

W pokojach, które pierwsze słyszały najpiękniejsze, najczystsze dźwięki naszej sztuki, stały, gdym do nich zajrzał, jakieś okropne polskie "biedermayery" jeszcze nie rozpakowane, ale gotowe, aby według jakichś gruboskórnych zamysłów ozdobić owe wiejskie ściany i "nasycić je atmosferą epoki".

Nie wiem, czy ów subtelny a tak niedelikatny pomysł był kiedykolwiek wykonany, ale myślę, że w owych prostych izbach, pachnących drzewem, nie większych i nie strojniejszych niż izby chat chłopskich, nie powinno stać nic prócz symbolicznej prostej chłopskiej kołyski, a nad nią na ścianie powinien wisieć obraz Matki Boskiej i wianek z rozchodniku i macierzanki. Bo i bez mebli te izby nie są puste i właśnie bez mebli pełne są jakby duszy Chopina, którą tutaj w tem ubóstwie, tej prostocie czujemy taką, jaką czuł Norwid, pełną "Polski złotopszczołej, Polski, przemienionych kołodziejów".

I tak samo, jeśli chwast zarośnie owe nieprawdopodobne ogrodnicze konstrukcje, włoskie dziwolągi, stwory jakiegoś wymyślnego a nic nie rozumiejącego pomologa, któremu Komitet Chopinowski pozwolił "pohulać" - sad w Żelazowej Woli, powróciwszy do dawnego opuszczenia, łąka do dawnej dzikości, będą do nas mówić tą właśnie prostą mową, jaką mówiły do małego Chopina, kiedy jak wiejscy chłopcy biegał boso po tej łące i drapał się po drzewach w sadzie. Nic tutaj nie trzeba dodawać, nic upiększać i gdyby nawet stary dwór się nie uchował, gdyby ścięto kasztan, wystarczyłoby stanąć pod tem niebem, odetchnąć tem powietrzem, aby pojąć to,czego tak długo nikt nie rozumiał, a co dzisiaj uchodzi za prawdziwą wielkość Chopina: jego duchowe zdrowie, siłę, jego panowanie nad uczuciem, nad nerwami, znaki głębokich związków z ziemią.

Wiemy już dziś wszyscy, że Chopin został sfałszowany, jak mało kto w sztuce, sfałszowany przez biografów, którzy zrobili z niego omdlewającego kochanka, przez iluż pianistów, którzy grali go jak patriotycznego płaksę, nawet przez portrecistów, z których żaden poza Delacroix nie zdołał wyrazić tragizmu i ironii zarazem, tak nami wstrząsających, gdy patrzymy na niedawno odnalezioną jego fotografię.

Ale chociaż niedawno wydane jego listy, pełne smakowitych plotek

absurdalnych żartów i czarującej życiowej trzeźwości zastąpiły dawne sentymentalne jego biografie, choć obraz tragicznie umęczonego, ironicznego pana w palcie z owej fotografii zaćmił w naszej wyobraźni - wizję Chopina, nieprzyzwoicie rozchełstanego pod bronzową wierzbą, choć wreszcie zobaczony z niezwykłą intuicją naprawdę wielki a jakże naturalny, złośliwy, tylko sztuce oddany Chopin z "Lata w Nohant" zawsze już będzie dla nas prawdziwszym Chopinem niż Leliwa w koszuli, umierający w operze Orefice'go - ciągle jeszcze nie rozumiemy jak Chopin był wielki, jak wyjątkową w Polsce wielkością, jak przytym polski i, niech to będzie nam warszawiakom poczytane za śmieszną pretensję, jak bardzo warszawski.

Jak nikt poza Mickiewiczem w "Panu Tadeuszu" i Słowackim on jeden wśród wielkich polskich twórców potrafił cierpieć z elegancją, z boskim uśmiechem, z poczuciem, że wszystko przeminie a zostanie sztuka; jak jeden Mickiewicz potrafił on romantyzm, tak nam przyrodzony, zamknąć w nieposzlakowany kształt klasyczny, on pierwszy i jak nikt po nim podniósł ludowość do najwyższego duchowego szyku i uczynił polskość zrozumiałą, drogą i niezbędną dla świata.

Jeżeli ośmielam się mówić, że Chopin był prawdziwym warszawiakiem, to może w tych właśnie dniach, gdy święcimy rocznicę obrony Warszawy przez zwykłych warszawskich ludzi - owo określenie nie wyda się ani bluźnierstwem ani paradoksem. Był on bowiem naprawdę warszawiakiem nietylko dlatego, że kochał Warszawę, tęsknił do niej, że przeklinał w listach swych Francuzów, którzy nie pomogli Warszawie, nietylko dlatego że najlepszych przyjaciół zostawił w Warszawie i nigdy nie przestał ich kochać. Jego charakter, temperament, dusza, jeśli nawet urodziły się z dwu krwi: francuskiej i polskiej, były tem właśnie, czem dusza Warszawy, zrodzona z siły mazowieckiej, ukształconej przez króla Stasia, wypolerowanej rokokowym szykiem.

Kiedy czytamy dziś jego listy, moglibyśmy pomyśleć, że pisał je jakiś współczesny plotkarz warszawski, natrętny dowcipniś, wszystko co jest powierzchnią w Chopinie nie jest to bynajmniej wspaniały ale zimny szyk paryski, ale żart warszawski, bujny, serdeczny, lekkomyślny a kryjący głębokie sekrety serca. I kiedy teraz pomyślimy, że ów żartowniś, ów dandys warszawski był to poprostu Chopin, że ta sama ręka, która pisała różne "wygłupiania" się do Tytusa Wojciechowskiego i Jana Białobłockiego kreśliła znaki mazurków i preludiów - jakżesz nie pomyśleć, że wśród tłumu w warszawskich kawiarniach, wśród rozgadanych na Nowym Swiecie kpiarzy i żartownisiów - niktby nie rozpoznał obrońców Warszawy.

Jan Lechoń

Powieść.

Time bomb.

Ciąg dalszy.

Co ona zrobi teraz bez tego maquillage'u? Profesor pytał, co ona z nim robiła, bo na dziecinnej buzi nie było jeszcze ani jednej zmarszczki, ale Wanda była niepocieszona. Teraz posypią się odrazu! A ta Letycja zamiast tam szukać, latała za nią po szpitalach, jakby to mogło co pomóc!

Letycja była znowu nieobecna. Patrzała jakby gdzieś po za Niemca i oczy miała pełne łez. Słysząc, że Wanda do niej mówi, przez chwilę zbierała myśli.

-Bo...bo ci ludzie powiedzieli, że ambulans zabrał jakąś dziewczynę, więc ja po wszystkich szpitalach...A ty zaraz krzyczysz.

Zmartwienie Wandy uciszyło ją trochę,więc Letycja mogła spokojniej opowiedzieć o śródmieściu,z którego wracała.

-Bardzo tam źle?

-Teraz już nie tak,ale było strasznie.A najgorzej koło tych Almhouses Morze ognia...I staruszki na tym zimnie stoją w samej bieliźnie,a nikt nic może nic pomóc...Okropnie się pali.Wszystko aż po Warwick County Hospital.

-A koło katedry?

-Koło katedry też.

-A...a katedra?

-I katedra.

-Pali się?!

- Z początku zdawało się,że ją uratują.Ksiądz sam był na dachu i rąbał belki...ale jak przyszła cała seria zapalających,nie dał rady.

Zapanowała cisza,której nikt nie chciał przerwać.Stara katedra od sześciu wieków stała nad miastem. Patrzała już na różne zbrodnie,ale taką widziała pierwszy raz.

-Oj,Boże,Boże...-westchnęła wreszcie Mrs.Karfunkel.

-Nasza stara katedra...-szepnął Weber.

Nikt jednak z Anglików nie odezwał się. O takich rzeczach się nie mówi. Ludzie zawsze jakoś dadzą sobie radę,zabraknie jednych - będą inni ale starej katedry nikt im już nie wróci.

Po chwili Mrs.White zwróciła się cicho do Letycji.

-Niech pani nie mówi mojemu mężowi,bo się na śmierć zamartwi.On więcej bał się o tę katedrę niż o własny dom.

-A ten stary kościół za katedrą?

-I ten kościół i nawet ta wieża Cezara,jak ją nazywali i cała ta uliczka z tymi starymi domami...wszystko się pali.Ratowali i gasili,samoloty waliły z góry a oni ciągle ratowali i jeszcze ratują - nikt już nie myśli o swoim,tylko żeby ten pożar zatrzymać - ale wiele już tam nie uratują.

-On codziennie - deszcz nie deszcz - musiał być na tej uliczce...Tak ją kochał...-Mrs.White dyskretnie wytarła oczy i mąż zauważył jej zmartwienie.

-Co? Co się stało? Twoje kaktusy?

-Nie.Właśnie pani mówi,że cała oranżeria ocalała.

-A widzisz!A tak się martwiłaś.-Uspokojony uśmiechem żony poprawił na niej pled.-Żebyś się tylko nie przeziębiła,to jeszcze wszystko będzie dobrze.Nie płacz...No, nie płacz...

Wanda poczuła,że coś ją ściska w gardle.Nagle wzięła Letycję za rękę.

-Wszystko jedno...Chodźmy stąd.Ja idę!...

-Dokąd?

-Ja nie mogę tu...

-Ale dokąd pójdziemy?

-Nie wiem...Ratować albo co...Ja nie mogę patrzeć tak bezczynnie.-Oddechała ciężko i Letycja czuła,że tłukło się w niej serce.

-Co ty? Co ty jesteś jakaś taka...

Asystent patrzał na nią uważnie.Czy zapomniała,że dziś nie miała jeszcze wyjść?Nawet profesor zaniepokoił się jej zachowaniem.

-A co właściwie pani było?- zapytał cicho asystenta.

-Skończyło się na szoku pierwotnym.Przytomność wróciła podczas injekcji.

-I już nic mi nie brakuje,oprócz wszystkich sukienek!-odpowiedziała starając się humorem zdobyć pozwolenie na wyjście z szpitala.-I to trzeci raz już w tym roku:raz w Polsce,drugi raz we Francji,i teraz-trzeci!

I jeszcze to pudło!Chodź!Pójdziemy szukać w gruzach i może jeszcze znajdziemy.Bo nigdy nie czułam się tak dobrze. Naprawdę!

-Ale pani jest dziwnie podniecona- zauważył asystent.

-Co?...Nie...Może trochę...Bo przypomniało mi się...

Zmarszczyła brwi i zamyśliła się.

-Co się pani przypomniało?- zapytał asystent.

-To właściwie śmieszne...Bo ciągle przychodzi mi na myśl...a nie wiem co!Przypomina mi się,a nie może się przypomnieć!Wiem tylko,że coś widziałam i że to było bardzo ważne, a nie wiem co i to mnie męczy.Bo do tej bomby wszystko pamiętam,a potem...

-Przerwała się ciągłość?

-O właśnie tak!Przerwała się.Bo jak śpi się,to gdzieś jakoś jednak wie się,że śpi się - a ja nic.

-Ale nic panią nie boli?

-Z początku myślałam,że mnie boli w głowę,ale teraz nie.

Asystent podszedł do niej.

-A gdzie to wszystko było? Pamięta pani?

-Oczywiście!To było na dachu na tym domku,gdzie mieszkałyśmy na Warwick Street.

-Pod którym numerem?

-Ale ja pamiętam wszystko doskonale!- odpowiedziała trochę oburzona, bo wpatrywał się w nią,jakby była wariatką.Więc żeby odsunąć wszelkie podejrzenia zaczęła żywo opowiadać.-To był taki ładny domek w ogródku i taka żelazna brama...

-A teraz tam tylko krater w ziemi i trochę rupieci dokoła- wtrąciła Letycja.

-I my mieszkałyśmy na pięterku,a na parterze właściciel.Jakiś stary..

-A który to numer na Warwick Street?-przerwał jej asystent. Wanda zauważyła,że Miss Violet i Weber podeszli bliżej a profesor podniósł na nią oczy. Dlaczego tak dziwnie zachowują się i patrzą tak badawczo? Czyżby naprawdę była nienormalna?

-Warwick Street - trzydzieści pięć - odpowiedziała za nią Letycja. Asystent i Miss Violet spojrzeli na profesora, który powoli opuścił głowę.Pewnie dom ich znajomego- pomyślała,więc szybko dodała.-Ale właściciela nie było w domu,kiedy padła bomba, mówili ludzie.

-To był jakiś stary kawaler,dziwak- opowiadała dalej Wanda.-Nawet nigdy nie widziałam go. Tylko jego psa. Śliczny!

-Leży tam zabity,koło fortepianu.

Koło fortepianu? Jezus Maria! Wanda nagle zrozumiała.To lady Fair.. A ten dziwak - to profesor...Dlatego tak pytali o ten numer!

-O very sorry...-wyrwało się jej całkiem niepotrzebnie,bo co ona temu winna...Prędzej ten Niemiec! Potem strasznie długo nic mówił nikt.

-Taki ładny domek...-odezwał się wreszcie Weber.

Profesor nic nie odpowiedział.Ale z pewnością myślał o Lady Fair a nie o domku. Skończyła przy ulubionym fortepianie.Wanda bała się podnieść na niego oczy. W jednej chwili stracił wszystko,co miał i co kochał. Strasznie było jej żal tego dobrego staruszka. Co się w nim teraz musi dziać... Po chwili usłyszała jego kroki. Idzie wypłakać się, a nie chce przy ludziach- pomyślała. Ale profesor stał już nad Degenem i bębnił palcami w powietrzu.

-Wrócimy do pracy- powiedział najzupełniej spokojnym głosem.

Wanda spojrzała zdziwiona.Ani słowa nie powiedział o swoim nieszczęściu,nie pokazał po sobie nic,nie westchnął nawet i wraca spokojnie do swojej pracy.Co za opanowanie!To się nazywa angielska kultura! /C.D.N./

Antoni Cwojdziński